

Chorwacja maj 2001

Idealnym terminem na wyjazd jest już osławiony długi weekend na przełomie kwietnia i maja. Może stanie się to tradycją XXI wieku, że Polacy, a szczególnie ptasiarze będą masowo wyruszać w tym czasie na podbój Europy i nie tylko. Długą majówkę 1 - 6 maja 2001 roku postanowiliśmy spędzić na ptakach w Chorwacji.

Skład wycieczki: Jacek Betleja i Gustaw Schneider + osoby towarzyszące w postaci koleżanek-małżonek

Środek transportu: Polski Fiat Siena 1,4

Finansowanie: prywatne w postaci kilkuset marek niemieckich i kart kredytowych różnych maści

Wyruszamy późnym wieczorem w niedzielę 29 kwietnia i udajemy się na przejście graniczne w Cieszynie-Boguszowicach, gdzie szybko i sprawnie wjeżdżamy do południowych sąsiadów. Tuż za granicą kupujemy naklejki na autostrady i drogi szybkiego ruchu w Czechach i Austrii (obie ważne 10 dni) za 48 PLN - taniocha i gnamy na południe. Następne granice bez większych problemów, szybko i sprawnie tak, że świt zastaje nas już w Słowenii. Na granicy wymieniamy marki na talary słoweńskie bo będzie nimi trzeba płacić na bramkach przed wjazdem na autostradę i tankować najtańsze paliwo po drodze. Dalej kierujemy się już nad Adriatyk a naszym celem jest największe miasto na półwyspie Istria - Pula. Kwaterujemy się koło południa w kompleksie hotelowo-apartamentowym „Punta Verudela” i odpoczywamy po trudach nieprzerwanej podróży. 14 godzin kierowania (na zmianę) trzeba odreagować na plaży (betonowa, ładnie wkomponowana w skalisty brzeg) i zakosztować kwietniowej kąpeli w Adriatyku (okrutnie słony, a temperatura jak Bałtyk w lipcu). Apartament jak na nasze warunki prawie luksusowy, salon z dwoma łózkami, aneksem kuchennym z lodówką, łazienka z prysznicem i na piętrze drugi pokój. Do tego mały balkon z widokiem na morze - wszystko za 19 DM na osobę za noc - więc taniocha. Normalnie w sezonie ceny 3 razy wyższe.

We wtorek 30 kwietnia udajemy się na jedną z największych wysp Chorwacji - Cres. Półgodzinna podróż promem (w obie strony samochód + 4 osoby kosztuje około 100 PLN) przez kanał i dalej asfaltową, wąską drogą do miejscowości gdzie droga się kończy - Belje. Celem naszym jest ośrodek edukacji przyrodniczej gdzie zajmują się sępami płowymi. Przed wejściem w ogrodzie widzimy pierwszą śpiewającą pokrzewkę wąsatą (*Sylvia cantillans*). Później będziemy ten gatunek widywać wszędzie i była to niewątpliwie najliczniejsza pokrzewka na tej wycieczce. W okazałym budynku z rozłożystym cedrem przed wejściem, miła dziewczyna zaprasza nas do zwiedzenia wystawy. Po angielsku przez ponad pół godziny opowiada nam o przyrodzie wyspy, zmianach jakie nastąpiły w ostatnich latach oraz o tym jak się chroni najcenniejsze miejsca. Nas interesują najbardziej sępy ale okazuje się, że można je zobaczyć tylko z łodzi. Zupełnie jesteśmy zaskoczeni bo gnieźdzą się one na nadmorskich klifach. Okazuje się, że jest to reliktowa populacja pozostała z okresu glacialnego gdy Adriatyk nie był morzem, a jego dno było równiną. To obecnie największa kolonia lęgowa sępa płowego w Chorwacji licząca kilkanaście par. W wolierze za budynkiem widzimy sępy płowe ze znaczkami skrzydłowymi, które nie dawały sobie rady w pierwszym roku życia. My jednak szukamy dzikiego sępa. Stroma uliczką idziemy do portu rybackiego i na plażę, a żar się leje z nieba. Nagle, przez jakieś 2 sekundy widzimy przelatującego poniżej nas sępa, który szybko znika za załomem skał. Jest - nie da się ukryć - zaliczony, choć nie tak jakbyśmy chcieli. Pierwszy punkt programu wypełniony. Pozostaje nam jeszcze jerzyk błądy

(*Apus pallidus*), który też ma być przy klifach. Jednak pomimo usilnego wypatrywania nie został wyhaczony, niestety aż do końca wycieczki. Przy powrocie trochę emocji czy załapiemy się na prom czy będziemy czekać w kolejce samochodów kolejną godzinę. Łapiemy się jednak na rufę i wieczorem jesteśmy w Puli.

Następnego dnia zrywamy się skoro świt i wyruszamy w teren tak zupełnie „na pałę”. Jadąc na południe w kierunku przylądka Kamenjak - najdalej na południe wysuniętego skraju półwyspu Istria znajdujemy taki byle jaki teren z domkami i ogródkami, nieużytkami i byle gdzie wysypanymi śmieciami. Zaczynamy słuchać śpiewających o brzasku ptaków w gęstych krzakach. Jeden głos jest wyraźnie nam nieznany. Próbuje zobaczyć ptaka co udaje nam się ledwie kilka razy i nie dłużej niż po 3 sekundy. Raz jednak jakieś pół minuty śpiewał na suchej gałęzi. Klasyczny mały wróblak bez żadnych rzucających się cech, a śpiew to skrzyżowanie paru *Acrocephalus*ów z dodatkiem *Hippolais*a. Nagrywamy śpiew ptaka na dyktafon, kombinujemy z Collinsem i wstępnie oznaczamy go jako zaganiacza bladego (*Hippolais pallida*). Wieczorem po konfrontacji z taśmami mamy już absolutną pewność, że oznaczyliśmy go dobrze. Jest pierwszy mocny strzał. Na zarośniętym wysypisku śmieci białorzzytko - miałem stare porachunki z białorzzytką rdzawą i tym razem udało mi się je wyróżnić - choć nie jest to mój wymarzony dorosły śpiewający samiec, a tylko zeszłoroczny młodzik. Wszędzie śpiewają pokrzewki wąsate i słowiki rdzawe - poranne szaleństwo śpiewu ptaków. Nad drogą prowadzącą do widniejących w oddali wojskowych radarów (nie ma to jak wojsko!) latają nasze wymarzone jaskółki rudawe (*Hirundo daurica*). W sumie 4 ptaki - sądzimy, że przelotne, ale okazuje się że z pobliskiej kałuży zbierają błoto. Oglądamy je we wszystkich możliwych pozach sycąc się widokiem tych rzadkich w Polsce jaskółek. Latają nam nad głowami i to jest właśnie pełnia szczęścia - ptaki aż do przesytu. Idziemy dalej na skaliste wzgórze porośnięte makią. Widzimy wreszcie najpospolitsze pokrzewki w tych szerokościach, które jednak w Chorwacji ustępują wszechobecnej pokrzewce wąsatej - pokrzewki aksamitne (*Sylvia melanocephala*). Jak zwykle śpiewają w gęstej makii wyskakując czasami na szczyt krzaka. Dochodzimy do widzianego z szosy opuszczonego, niedokończonego budynku i tu znów spotykamy nasze jaskółki. Wchodzimy do środka (dopiero w Polsce pomyślałem, że przecież mogły tam być miny - a dlaczego to czytaj dalej) i znajdujemy jedno gniazdo w początkowej fazie budowy, a drugie już ukończone. Absolutny odjazd - tak należy zaliczać gatunki. W sumie mieliśmy duże szczęście bo w całej Chorwacji jest tylko około 100 par tej jaskółki i faktycznie nigdzie indziej już jej nie widzieliśmy. Robimy fotki - bo nikt pewno nam nie będzie chciał uwierzyć i wracamy do samochodu. W drodze powrotnej wypatrujemy skutecznie kolejną pokrzewkę - lutniczkę (*Sylvia hortensis*) - samica przez parę sekund na drzewie figowym. Jest niezłe, czujemy już to podniecenie i zadowolenie z dobrej roboty i zaciśniętych do końca nowych gatunków.



Gniazdo jaskółki rudawej (*Hirundo daurica*)

Jedziemy na Kamenjak - takie mamy zamiary od znajomego ornitologa, które poznałem będąc jeszcze w Jugosławii przed wojną. Oczywiście ich wojną w latach 1992-1995. Mauricio podesłał mi dokładne zamiary z mapkami najciekawszych miejsc w północnej Dalmacji i sprawdzamy je po kolei. Dojazd na Kamenjak nie jest łatwy bo z trudem udaje nam się trafić na gruntową drogę za miejscem gdzie budują drogę czy coś takiego bo zamieszanie ze spychaczami, koparkami i ciężarówkami jest poważne. Jedziemy w labiryncie krzaków i dróg, właściwie nie gruntowych a skalnych bo podłoże to miejscami lita skała, a większości przypadków pokruszona. Widzimy też inne samochody jak krążą, jakieś drogowskazy, ale tylko mieszają nam wyobrażenie tego co oczekujemy. Jedziemy na czuja i docieramy na koniec półwyspu gdzie widok jest naprawdę wart tych kilku kilometrów jazdy po skałach. Niewysokie ale bardzo malownicze klify, absolutnie lazurowa woda (aż chciałoby się skoczyć - ale darujemy sobie), wyspa z latarnią morską i obok wyspa z kolonią mew.



Bajkowy półwysp Kamenjak



i my na klifie

Oczywiście mewy też przepatrujemy i stwierdzamy, że wszystkie to typowe michasie - czyli *Larus cachinnans michahellis*. To pewno będzie w przyszłości inny gatunek bo to nie są nasze mewy białogłowe z Doliny Górnej Wisły. Najciekawsze jest jednak zachowanie tych mew. Nie latają one nad morzem, tak jak należało przewidywać w poszukiwaniu ryb, ale nad lądem. Wyraźnie tam czegoś wypatrują. Siadają też na polach uprawnych i tam niczym nasze śmieszki czegoś szukają. Zupełne zaskoczenie, które wyjaśnia się częściowo po przyglądnięciu się z bliska makii. Latają w niej ogromne szarańczaki, które pewno są niezłym kąskiem nawet dla takiej dużej mewy. Odpoczywamy, robimy zdjęcia, sycimy się widokiem wspaniałych skał, morza i zupełnie bajecznej wyspy z latarnią. Zbieramy się już bo południe i słońce zaczyna wciskać w skalistą ziemię. Wracamy do apartamentów. Po drodze jednak zatrzymujemy się by popatrzeć na kolejną białorzzytkę, która nie jest łatwa do oznaczenia i słyszymy znów nieznany śpiew, tym razem jakiegoś skowronka. Lokalizujemy ptaka w niskiej i rzadkiej trawie rosnącej wśród kamieni. Po krótkiej obserwacji i szybkim sprawdzeniu w Collinsie wiemy już jak wygląda samiec i samica skowrończyka

krótkopalcowego (*Calandrella brachydactyla*). Znów pełne i w pełni świadome zaliczenie - para ptaków i śpiew. To jest to o co chodzi - nie tylko zaliczyć ale i się nauczyć nowego gatunku.

Po sjeście jedziemy pozwiedzać Pulę. Zaliczamy z zewnątrz koloseum i wracamy na kwaterę gdzie omawiamy dzisiejsze wrażenia. Pozostaje jeszcze syczek, którego nie widziałem dotąd, a Gustaw twierdzi, że powinien być wszędzie i się odzywać przez całą noc. Nie wierzę i wychodzimy sprawdzić. Faktycznie słuchać z oddali rytmiczne gwizdanie. Idziemy wszyscy i dochodzimy pod sosnę z wyjątkowo gęstą koroną i mnóstwem szyszek. Gwizdźmy jak on, ale ten nic sobie z tego nie robi. Z dokładnością zegara atomowego gwizdźmy głośno co sekundę. Szukanie latarkami i lornetką w gęstwinie szyszek, które są jego wielkości powoduje tylko ból w karku. Tracę cierpliwość i zaczynamy go płoszyć. Rzucanie gałęziami i kamieniami w koronę sosny niewiele daje. To uparte stworzenie dalej gwizdźmy co sekundę. W końcu gdy schylam się po kolejny kamień ptak przelatuje na sąsiednie drzewo. Wszyscy go widzą poza mną. Jestem załamany i nie daję za wygraną bo ten skubaniec nadal gwizdźmy. Po 15 minutach odpuszczam i pozostają tylko z wbitym w głowę głosem syczka, którego już na pewno nie zapomnę. Trudno, nie będzie zaliczenia, ale nie przecież o to chodzi i tak już dziś na mojej życiowej liście aż 5 nowych gatunków - pełny odjazd.

Najwyższy czas opuścić Pulę i przemieścić się dalej na południe. Jedziemy najpierw na północ przez Rijekę i później odbijamy na wschód bo naszym celem są osławione Plitwickie Jeziora. Nie samymi ptakami człowiek żyje, a dziewczyny niech też coś ciekawego zobaczą. Po drodze tankujemy ale okazuje się, że w Chorwacji są tylko miejscowe CPNy o wdzięcznej nazwie INA. Absolutny brak zachodnich koncernów petrochemicznych. Ale paliwo dobre i z moich obliczeń wychodzi, że „bryka” pali o cały litr mniej. Niemożliwe. Pewno coś pokręciłem. Nie udało mi się już tego sprawdzić. Gnamy, byle do przodu bo przed nami szmat drogi. Rijekę przejeżdżamy nadzwyczaj szybko. Zero korków, a jedziemy przez środek miasta. Drogi też świetne a po wyjeździe za miasto zupełnie puste. Nie są to dwupasmowe szybkie drogi, ale równie szybko można jechać po równej i pustej jednopasmowce. Asfalt gładki, bez dziur. Chyba najgorsze drogi w cywilizowanej Europie są u nas. Jedziemy przez przełęcz górską i bez żadnych problemów pokonujemy dziesięcioprocentowe podjazdy. Mimo, że jesteśmy maksymalnie obciążeni samochód sprawuje się wyśmienicie. Docieramy w południe do pustego parkingu przy wejściu do Plitwickich Jezior. Kupujemy bilety i wybieramy najpierw zwiedzanie górnych jezior. To trzeba zobaczyć bo krajobraz jest naprawdę bajkowy ale po 3 godzinach wędrówki wygodnymi kładkami wśród jezior i szumiących wodospadów jest się lekko znużonym. Właściwie po pewnym czasie jest już ciągle to samo: jezioro, olszyna, wodospad, omszone skały, kładki i znów to samo w trochę innej kolejności. Z ptaków tylko dyżurny pluszcz. Ale wszędzie pełno Polaków bo dziś 3 maja. Kto lubuje się w ładnych obrazkach będzie usatysfakcjonowany. Chcemy jeszcze zaliczyć największy wodospad w części dolnej ale



zastaje nas burza i rezygnujemy. Dziewczyny są zadowolone więc rozpoczynamy odwrót i Gustaw decyduje się na heroiczny bieg w ulewie do samochodu. Musimy jeszcze dziś dojechać w okolice Zadaru i znaleźć kwaterę.

Autor tekstu w Parku Narodowym Plitwickie Jeziora

Ruszamy na południe. Ulewa przechodzi i im bliżej wybrzeża tym więcej słońca. Po drodze widzimy pierwsze ślady wojny. W każdej wsi jest co najmniej jeden dom ze śladami kul na ścianach, z oczodołami okien i zapadniętym dachem. Robi to na nas duże wrażenie, a Gustaw z przewodnika Pascala streszcza nam najnowszą historię Chorwacji. Widać, że nie było to wojna na niby ale ostre strzelanie przy którym ginęli ludzie. Dojeżdżamy o zachodzie słońca do wybrzeża i próbujemy znaleźć nocleg. Zwalniamy w miasteczku Seline i wzdłuż drogi pełno tabliczek z napisami: sobe, zimmer, apartmant. Szukamy apartamentu i wjeżdżamy w boczną drogę w kierunku morza. Jesteśmy na podwórku gdzie budują jeden dom ale drugi stoi tuż nad brzegiem i wygląda na zamieszkały. Drzwi otwarte ale nikogo nie ma w środku. Znajdujemy gospodynię i pokazuje nam nie apartament ale całe mieszkanie z tarasem z widokiem na morze. Wszystko dwa razy większe niż w Puli. Zbijamy cenę o 10 i za 70 DM za całość ładujemy się na piętro. Dziewczyny kręcą nosami ale je przekonujemy, że nic lepszego nie znajdziemy. Tak, naprawdę to już nie mamy siły szukać czegoś bardziej atrakcyjnego, a naszym zdaniem jest tu całkiem fajnie. Rozpakowujemy się i wcześniej idziemy spać.

Rano o 5 ruszamy wreszcie na ptaki a naszym celem jest wąwóz Wielka Paklenica - w parku narodowym o tej samej nazwie. Podjeżdżamy jako jedni z pierwszych i mijamy jeszcze zamknięty punkt poboru opłat za wstęp do parku. Ja byłem tu w 1989 roku i wstęp kosztował wtedy coś koło 5 DM. To były spore pieniądze jak na ówczesne czasy ale mi się udało wytargować wolny wstęp pokazując w nieśmiertelnym Siwku sępa płowego, którego chciałem tu zobaczyć. Wtedy udało mi się zobaczyć stado 10 sępów przelatujących nad wąwozem, ale dziś nie mamy na szans. Od tego czasu sępów było coraz mniej i obecnie już się nie gnieźdzą. Nadmierny ruch turystyczny spowodował, że nie wytrzymały presji wspinaczy zdobywających ponad 350 m pionową skałę. Na razie rano nie ma ludzi i jesteśmy pierwszymi, którzy idą w górę. Dochodzimy do schroniska skąd widać główną grań Velebitu i powoli wracamy. W gęstych zaroślach nad strumieniem słowiki rdzawe zupełnie oszalały. Takie ilości nie są spotykane w Polsce. Mijamy idących w górę turystów, których ciągle przybywa. U podnóża ogromnej skały klasyczna „wyróżniona stonka” w wydaniu Chorwackim obskakuje nas i przysysa się do lunety. Patrzą na wspinaczy. Pytają się czy jesteśmy Bośniakami, czy podobają nam się chorwackie dziewczyny i za którą drużyną kibicujemy. Nie chcą się odzepić przez jakieś pół godziny - koszmar. Z tego miejsca widać jak wspinacze walczą z okazałą skałą. Jest ich tam na raz jakieś 50 osób - nie ma się co dziwić, że sępy nie wytrzymały. Dwanaście lat temu nie było takiego tłoku. Wokół skały latają jaskółki skalne (*Ptyonoprogne rupestris*) i jerzyki alpejskie (*Apus melba*). Niżej widać śpiewające modraki (*Monticola solitarius*), ale my wyszukujemy tego ptaka po którego tu przyjechaliśmy - kowalika skalnego (*Sitta neumayer*). Już boli nas szyja od skanowania skał. Nic z tego. Mnie to tak bardzo nie zależy bo widziałem go tu wcześniej i to całkiem z bliska, ale Gustaw staje się już nerwowy. Dochodzimy do wyasfaltowanego parkingu, który się już całkowicie wypełnił w większości wozami z polskimi rejestracjami. Już chcę składać lunetę ale widzę jakiegoś ptaka siedzącego na suchym krzaku prawie na samym szczycie skały. Pewno modrak, ale sprawdzam. Jest kowalik skalny ale, o zgrozo, na gałęzi. Odzywa się dokładnie tak jak kiedyś i widać wszystko co trzeba. Z daleka, ale jest pewne zaliczenie i też do syta. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wracamy na kwaterę. Dziewczyny leżą na betonowej plaży i smażą się w południowym słońcu. Opowiadają coś o miłych Chorwatach co bierzemy za dobry znak i stwierdzają, że apartament jest super. Można więc spokojnie po obiedzie udać się na sjętę.

Wieczorem chcemy zaliczyć Małą Paklenicę położoną tuż przy naszej wiosce. Podjeżdżamy na trawiasty parking i idziemy dziką ścieżką. Tu nam się o wiele bardziej podoba i żalujemy, że nie przyszliśmy tu rano. Cisza spokój i zero ludzi. Tylko miejscowy pastuch ze stadem stu kóz i uroczo brykającymi kozłętami. Dziewczyny są zachwycone. Ja

też, bo wreszcie mam klasycznego samca białorzytki rdzawej śpiewającego z suchego krzaku. Z bliska para cierlików (*Emberiza cirulus*) ale głuszka ani śladu. Na skale jeszcze raz kowalik skalny z bliższej odległości, mamy więc powtórkę, która też się liczy. Pomimo ostrego skanowania skał nic więcej. Ściemnia się na całego i postanawiamy przyjechać tu znów z samego rana.



Cała wycieczka u wejścia do Małej Paklenicy

Rano przed wschodem słońca jesteśmy w tym samym miejscu i są też te same ptaki. Znajoma para cierlików, białorzytka rdzawa ale głuszka nadal brak. Idziemy dalej do ogrodów oliwnych za murkami z szarych kamieni. Tam w pełnej krasie śpiewający samiec lutniczki. Już wracając przy drodze na drutach i drzewie oliwnym samiec dzierzby rudogłowej (*Lanius sentator*). To piękny ptak i czujemy, że to będzie nasz fartowny dzień. Ruszamy dalej a celem naszym jest wyspa Pag. Jadąc adriatycką magistralą zatrzymujemy się w miejscu, które wydaje nam się ciekawe. To typowe miejsce: skaliste, strome i nasłonecznione górskie zbocze. Jak piszą autorzy w obecnie najpopularniejszym przewodniku Collinsa to właśnie jest środowisko wszystkich gatunków jakie szukamy. Okazuje się to prawdą bo właśnie tu widzimy śpiewającego samca trznadla czarnogłowego (*Emberiza melanocephala*). Tego nam brakowało do kompletu niezbędnych gatunków do wyhaczenia. Piękny samiec śpiewający na drutach, choć nie mogliśmy dokładnie się mu przysłuchać bo wszędzie dawały słowiki rdzawe. Nawet w takim środowisku śpiewały jak opętane. Zupełna paranoja.

Jedziemy dalej do zaznaczonego na mapie bajora, gdzie może poobserwujemy jakieś ptaki wodne. Zaczyna już grzać a teren na wyspie Pag staje się pustynny. Setki hektarów połamanych skał i w tym maleńkie roślinki. Słońce wciska tu życie między skały. Jedziemy w końcu boczną, asfaltową drogą i zatrzymujemy się by zobaczyć to bajoro. Z oddali widnieje niewielkie jezioro porośnięte rzadkim szuwarem z paroma łyskami, czaplami białą i nadobną nad brzegiem. Rezygnujemy z przedzierania się przez gęste tu murki i na jednym z nich śniadamy. Nie ma to jak paprykarz szczeciński w gorącej Chorwacji, tym bardziej, że nad nami śpiewa właśnie skowrończyk krótkopalcowy. Przyglądamy mu się i możemy przekonać się jak różne osobniki są odmienne od siebie. Ten nie ma śladu plam pod szyją i jest ogólnie bardzo jasny. Gustaw strzela parę fotek opierając się o kamienny murek, a ja przeglądam Collinsa w poszukiwaniu tego co można by jeszcze wypatrzeć. Pozostaje kuropatwa skalna (*Alectrois gracea*), o przepraszam teraz ten ptak ma inną obowiązującą polską nazwę – góropatwa skalna – całkiem niezła nazwa, ale z opisu wynika, że szanse na wypatrzenie tego ptaka mamy nikłe. Już mamy się zbierać kiedy słyszę ostry głos z tyłu. Obracam się, a tam na murku w pełnej krasie właśnie przed chwilą odpuszczona kuropatwa, eee.... góropatwa. Szybko mówię Gustawowi co widzę i po dwóch sekundach ptak niestety zeskakuje z murka. Idziemy jeszcze w to miejsce ale po chwili widzimy tylko ogony spłoszonej pary ptaków. Tego zresztą się spodziewaliśmy, ale gatunek zaliczony bez pudła.

Czujemy jednak niedosyt wrażeń a mamy jeszcze trochę czasu i sił przed południem i jedziemy w miejsce, które widzieliśmy jadąc z Plitwickich Jezior. Miejscowość Jesenica straszy kilkoma ostrzelanymi i spalonymi domami przy głównej drodze. Gustaw namiętnie je fotografuje, trzeba będzie pokazać kolegom taką egzotykę. Wybieramy boczną, gruntową drogę, która zmierza w kierunku stromych zboczy Velebitu. Robimy safari i jedziemy wolno skalistą drogą rozglądając się i co chwila przystając by posłuchać co śpiewa. Na jednym z takich przystanków niezbyt daleko od drogi widzimy siedzącego na suchym krzewie pięknego samca nagórnika (*Monticola solitarius*). Śpiewa i podlatuje. Ustawiamy lunetę i mamy go jak na dłoni. Co za wspaniały ptak! Zatrzymujemy samochód i chodzimy w pobliżu wioski po ogrodach oliwnych i wszechobecnych skalistych, nasłonecznionych zboczach. Jest znów lutniczka, pokrzewka aksamitna i jeszcze raz śpiewający trznadel czarnogłowy. Powtarzamy więc tego ostatniego trznadla, tym razem na drzewie. Z żalem musimy się zbierać z tego miejsca bo wiemy, że to ostatnie nasze chwile w terenie. Jest południe i słońce wciska życie w skaliste podłoże. Ciężko już chodzić ale słowiki są i tu niezmordowane. Słyszymy kilka śpiewających ptaków w absolutnie pustynnym i górskim środowisku. Wygląda to na zupełną paranoję, żeby mogły się tu gnieździć ale chyba tak jest, bo w Chorwacji jest dwa razy więcej słowika rdzawego niż w Polsce. Wracamy na kwatery odpocząć. Jutro wyjeżdżamy do Polski.

Głębokim popołudniem dziewczyny namawiają nas na wycieczkę do Zadaru. Miała być to krótka przejażdżka bo to tylko 20 km od naszej kwatery ale objazd na głównej drodze robi z tego dwa razy dłuższą drogę. Droga ma być jednak później otwarta i mamy nadzieję na szybszy powrót. Sam Zadar to niezbyt duże portowe miasto o charakterystycznym śródziemnomorskim klimacie. Są palmy i pozostałości z czasów rzymskich. Chodzimy wąskimi uliczkami, robimy zdjęcia w ciekawszych miejscach i zaglądamy do sklepów. Nie ma się czym specjalnie ekscytować, kto już raz był na południu Europy wie czego można się spodziewać w takich miastach. Zbieramy się z nadzieją na łatwy wyjazd z miasta co okazuje się jednak niemożliwe. Drogowskazy wywalają nas w jakieś osiedle i drogę w remoncie. W końcu jedziemy jakąś boczną drogą tym razem z drugiej strony miasta mając nadzieję, że trafimy na główną drogę. Gubimy się jednak i w końcu jadąc przez chorwackie wsie widzimy napis „kraj asfalta” i wjeżdżamy na gruntową drogę. Po zasięgnięciu języka okazuje się, że jedziemy jednak w dobrym kierunku ale tu spotyka nas nowa niespodzianka bo po obu stronach tej drogi są pola minowe. Informują o tym duże tablice i czerwone taśmy z napisem „mine!”. Z początku jesteśmy trochę wystraszeni ale już po chwili traktujemy to jako świetną atrakcję. Powrót okazał się jeszcze dłuższy a pola minowe ciągnęły się jeszcze kilometrami po obu stronach drogi, nawet w skalistym krajobrazie nad samym wybrzeżem. Z porwanych taśm odgradzających pola minowe wzięliśmy sobie po kawałku na pamiątkę tej niezwyklej wycieczki.

Z samego rana w niedzielę 6 maja odpalamy samochód i jedziemy na północ. Przejeżdżamy tą samą trasą obok Plitwickich Jezior i teraz udaje nam się rzucić okiem na największy wodospad, którego nie zaliczyliśmy wcześniej z powodu burzy. Gnamy dalej, co kończy się bliskim spotkaniem z chorwackimi policjantami – łapią nas na radar. Nie chcieli uwierzyć, że nie mamy już chorwackich kun ani niemieckich marek. Udało nam się wyszperać 20 DM i bez zbędnej biurokracji ruszyliśmy dalej tym bardziej, że policjanci złapali już następnego klienta - tym razem Niemca w Mercedesie. Po drodze zaliczamy sklepy wolnocłowe na granicy Słowenii i po 14 godzinach podróży jesteśmy już u siebie na naszym rodzinnym Górnym Śląsku. Majówka więc była wyjątkowo udana i wszyscy byli zadowoleni. Polecamy wszystkim wycieczkę do Chorwacji w maju bo to wspaniały okres na ptaki, a kraj jest ciekawy i w tym okresie jeszcze niedrogi.

Tekst i zdjęcia: Jacek Betleja